

Przemysław R.

CICHOŃ



**PEWNEGO RAZU
W
ŚWINIORYJACH**

RUBIEŻE
RZECZYWISTOŚCI

Przemysław R.
CICHOŃ

PEWNEGO RAZU W ŚWINIORYJACH

Bydgoszcz 2018

Bibliotekarium

[Kup książkę](#)

PEWNEGO RAZU W ŚWINIORYJACH

Copyright © by Przemysław R. Cichoń 2018. All rights reserved

Copyright © by Bibliotekarium 2018

Redaktor prowadzący – Marek Żelkowski

Redakcja – Wojciech Chudziński

Korekta – Anna Potrzeba

Projekt typograficzny oraz logo serii – Tadeusz Meszko

Skład – Tadeusz Meszko

Fotografia na okładce – Fotolia

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujemy cudzą własność i prawo.

Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

Wydanie I

Bydgoszcz 2018

ISBN 978-83-950151-6-8

RUBIEŻE
RZECZYWISTOŚCI

Bibliotekarium

ul. Kaczmarczyka 17, 85-796 Bydgoszcz

e-mail: redakcja@bibliotekarium.pl

Nevicom sp. z o.o.

ul. Kaczmarczyka 17, 85-796 Bydgoszcz

[Kup książkę](#)

Spis treści

[O sobie i Świnioryjach](#)

Bez komplikacji

Indiana Jones

[Armagedon i archeolodzy z Bożej łaski](#)

Jeziorowe przesłanie

Stolica i złudny czar technologii

Kwestia wiary

Seryjny

Zawał

Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej

Pieruńskie ożywienie

Opowieść Kontestatora

Świątokradztwo

Fuks. Czyli podwójne szczęście Kawki

Czarcie Jeziorko

Rysiek kreator

Ailurofobia

Marta. Czyli krew z krwi...

O sobie i Świnioryjach

Nazywam się dokładnie tak, jak stoi na okładce. Nie używam pseudonimów. Piszę pod własnym imieniem i nazwiskiem, a właściwie imionami, bo „R” to pierwsza litera mojego drugiego imienia. Urodziłem się dość dawno temu. Co niektórzy mogliby powiedzieć, że pół wieku to wcale nie tak dużo. Cóż, wszystko jest względne, spytajcie Alberta. Nie jestem pisarzem z wykształcenia. Nie ukończyłem filologii polskiej ani literaturoznawstwa. Nie studiowałem dziennikarstwa, kreatywnego pisania czy choćby bibliotekoznawstwa. Niczego, co miałoby związek z pisaniem. Moją szkołą było przede wszystkim „życie”, a w zasadzie jest, bo nadal studiuję na tym cudownym uniwersytecie. Ostatnio obrałem sobie, jako nowy kierunek, „Pisanie”. Tak, bo na mojej uczelni jest taki kierunek – „Pisanie”, nie pisarstwo. Piszę od niedawna. W zasadzie, od bardzo niedawna. To znaczy, gdyby całe moje dotychczasowe życie trwało, powiedzmy, godzinę, to można by powiedzieć, że piszę od kilku minut. W rzeczywistości jestem samoukiem i nie mam tu na myśli tylko pisania. Jest wiele rzeczy, które potrafię robić, a których nikt mnie nigdy nie uczył. Jestem, jak mi się wydaje, dobrym obserwatorem oraz wychodzę z założenia, że wszystkiego w życiu, które jest największą i najbardziej prestiżową uczelnią na świecie, można się nauczyć.

Cykl opowiadań pod tytułem „Pewnego razu w Świnioryjach” zrodził się, jak większość moich opowiadań, z przypadku, z potrzeby chwili. Teraz nie pamiętam już, czy było to jedno z ćwiczeń na facebookowej grupie warsztatowej, czy po prostu post na „temat”. Przyznaję, że inspiracją w pewnym stopniu okazała się też twórczość jednego z moich ulubionych autorów. Bohaterowie urodzili się naturalnie, najpierw Waldek (choć jest młodszy). No cóż, już samo jego nazwisko sugeruje, że nie jest on doskonały, więc musiałem dać mu

jakąś podporę, kogoś, kto go zawsze wesprze i nigdy nie zdradzi. I w ten sposób zrodził się Mundek Waśka, wielki i silny, może niekoniecznie tak bystry, jak Waldek, ale świetnie się uzupełniają. A dalej to już było z góry, choć czasami trzeba było podejść pod kolejną, żeby znowu mogło być z góry itd., itd.

Cykl powstał w niespełna pół roku, a pisanie go dało mi tyleż radości, co przysporzyło zmartwień. Nie potrafię powiedzieć, czy za parę lat nie zapragnę znów zanurzyć się w te sielskie, „pszenno-buraczane” klimaty. A wtedy, kto wie, co może się jeszcze wydarzyć. Zdaję sobie sprawę, że moje opowiadania o dwóch takich, co nie buchnęli księżycy, ale nieźle namieszali w Świnioryjach, nie każdemu przypadną do gustu, ale jeśli choć parę osób czytając je uśmiechnie się, to było warto.

Bo jak powiedział kiedyś William Szekspir: Życie nie jest ani lepsze, ani gorsze od naszych marzeń. Jest od nich zupełnie inne. Więc śmiejmy się z życia, takiego, jakim jest, a może stanie się lepsze nawet od naszych marzeń...

* *Pszemno-buraczane* – tak po premierze pierwszego opowiadania z tego cyklu na antenie radiowej, wyraził się o nim Marek Żelkowski – pisarz science fiction i fantasy, scenarzysta radiowy oraz dziennikarz, prowadzący audycję „ABW” w Radiu Paranormalium.

Armagedon i archeolodzy z Bożej łaski

Nikt nie mógł tego przewidzieć. No chyba że wójt Gnijewa, ponieważ miał dostęp do planów zagospodarowania przestrzennego gminy. Jednak w Świnioryjach nikt się nie spodziewał, że pewnego słonecznego, letniego dnia, przyjdzie im zmierzyć się z nadchodzącym Armagedonem.

Żwirową drogą już od godziny szóstej, wzbijając tumany rudobiałego pyłu, ciągnął ciężki sprzęt. Końca tego konduktu, przerażającego formą i rozmiarem, nie było widać. Od strony Gnijewa, nieustannym potokiem przetaczały się koparki, spychacze, walce i inny sprzęt budowlany. Część czyniła to na specjalnych lawetach, część na własnych kołach. Przy akompaniamencie warczących silników i pomruku toczących się po żwirowej drodze kół, kawalkada jeźdźców apokalipsy jednostajnym tempem sunęła przez wieś.

Waldek jeszcze smacznie spał, gdy do jego uszu zaczęły docierać monotonne, ale coraz głośniejsze odgłosy ciężkiego sprzętu. Kiedy do tego dołączyły się drgania gruntu, gdy kawalkada przetaczała się koło jego chałupy, ocknął się zdezorientowany. Przez moment nasłuchiwał zaniepokojony. Po chwili zerwał się na równe nogi, krzycząc:

– Ruskie czołgi! Chodu do piwnicy.

Po kilku sekundach zorientował się, że już od dawna, to znaczy od czterech lat, mieszka sam. Żona wraz z dwójką dzieci i psem wyprowadziła się do matki. Jedyнным współlokatorem Waldeka był wychudły, wyliniały kot. Zresztą przychodził tu tylko spać. Całymi

dniami włóczył się po wsi, prawie tak jak Waldek. A ruska okupacja? Ona przecież skończyła się już jakiś czas temu.

Po następnych kilkunastu, może kilkudziesięciu sekundach, do Waldka zaczęła docierać reszta bodźców z realnego świata. Ostatnio sypiał twardo i miewał sny, dziwne sny. Podszedł do okna i odsłonił zasłonkę z pasiastego ręcznika frotte. Na drodze coś się działo. Sądząc po hałasie, jaki stamtąd dochodził, było to coś ważnego. Na ogół nic się tu nie dzieje, nic absolutnie. A teraz się działo... Nooo! Teraz to się dziaało.

Waldek wcisnął się w gacie i czym prędzej wyszedł przed chałupę, usiłując zawiązać kokardkę ze sznurka od snopowiązałki, który służył mu za pasek. Wśród tumanów brunatno-żółtego kurzu, drogą poruszały się jakieś pojazdy. Przez kłęby pyłu, co jakiś czas było widać rozbłyski pomarańczowych świateł i słychać było klaksony.

„Ożeż w mordę. Jakiś przemarsz wojsk Układu Warszawskiego?” – zastanawiał się Waldek. Oczywiście zdawał sobie sprawę z faktu, że Układ Warszawski nie istnieje, ale tak mu się skojarzyło, bo tęsknił trochę za tamtymi czasami, kiedy życie było lepsze. A nawet jeśli nie lepsze, to na pewno prostsze. Pracował wtedy w pegeerze i to w zasadzie tyle, nic więcej nie potrzebował. PGR jak matka zapewniał mu wszystko, co było niezbędne do życia. Ubranie, węgiel, ziemniaki na zimę, ziarno do siewu (oczywiście Waldek nigdy nie wysiał nawet garstki ziarna, ale zawsze można było za nie dostać parę złotych), a oprócz tego, godziwą wypłatę raz w miesiącu. A teraz? PGR-u już nie ma, a za te niecałe osiemset złotych z ZUS-u, nie za bardzo jest jak wyżyć.

„Czy to jeszcze kiedyś wróci?” – zastanawiał się Waldek. I pewnie nadal by się tak zastanawiał, gdyby z tej zadumy nie wyrwał go głos Waśki.

– Co się tak gapisz, Wala? Drogę będą nam asfaltować.

– Asfal... Co?

– Asfaltować, to znaczy, że nie będzie już tej brei i kurzu. Czujesz? Asfalt do samego Gnijewa, od zakrętu na końcu wsi, gdzie stał dom Konieczki. No wiesz, ten, co to się w zeszłym roku schajcował.

– Wiem gdzie to. Przecież tam byłem – obruszył się Waldek.

– No ale, Wala, nie będziemy tu chyba tak stać po próznicy. Masz tam co?

Waldek ocknął się z chwilowego zamyślenia. Od czasu przygody w domu Konieczki, coraz częściej mu się to zdarzało. Znaczy, zdarzało mu się zamyślić, i to tak, że aż nieraz bolała go głowa od tego myślenia. No i te sny. Miał bardzo realistyczne sny. Widział w nich różne rzeczy, różni ludzie, i nie tylko ludzie, mówili mu przeróżne rzeczy, a gdy się budził, to przeważnie te rzeczy się działy. Nie, żeby od razu stał się jasnowidzem, po prostu miał sny, a te sny się sprawdzały. Nieraz palnął coś przy kielichu, że to czy tamto. Zwykle pijackie gadanie. A tu następnego dnia, bęc! – to się działo. Dokładnie tak, jak powiedział. Ludziska zaczęli już gadać. Kiedyś przy gorzale palnął, że Kulawiński powinien w końcu ten dach naprawić, bo mu wiatr dachówki strąca. W nocy tak wiało, że cały dach z chałupy Kulawińskiego zdjęło i w pole zanosło. Co ciekawe, „trąba” niczego w pobliżu nie uszkodziła, tylko ten nieszczęsny dach. Waldek czasami już bał się gębę otworzyć, żeby go za jakiego proroka nie wzięli. A wracając do waldkowego bólu głowy, Waśka stwierdził, że to dumanie, na zdrowie na pewno mu nie wyjdzie, bo mózg odwykły i strasznie się męczy, i od tego go ten łeb tak ciągle napieprza. A jak wiadomo, Waśka – nie byle jaki autorytet w dziedzinie bólu głowy – miał nań jedno tylko lekarstwo.

– No pewnie, że mam co nieco! – odparł, rozchmurzając się Waldek. Weszli do chałupy. Wewnątrz była sień i przestronna izba. W rogu stał piec, stary, ale bardzo ładnie wykonany przez zduńskiego mistrza. Nawet komin wyłożony był kaflami aż do powały. Przy piecu stało łóżko, a na nim leżała niezbyt świeża pościel, teraz w całkowitym nieładzie. Waldek podszedł do łóżka i zaczął ją poprawiać. W tym czasie Waśka stanął przy kredensie, i, jakby był u siebie, wyjął z niego dwie szklanki i napoczętą butelkę wódki. Postawił to wszystko na stole, który stał przy jednym z dwu okien.

– Masz jaką zagrychę? – spytał.

– Tam w kredensie powinien być słoik z papryką.

Waśka wyjął z kredensu słoik z marynowaną papryką i trzymając go dwoma palcami z wyrazem obrzydzenia na twarzy, postawił na blacie stołu.

– A nie masz Wala zwykłych ogórków? – spytał kolegę, który skończył mordować się z łóżkiem i właśnie wyglądał kapę, którą przykrył barłóg.

– Nie mam, ale papryka też dobra, zwłaszcza że kupiłem u Mażniakowej za pół ceny. Data wychodzi.

Waśka odkręcił słoik i podsunął sobie pod nos.

– Pachnie nie najgorzej. – Wsadził dwa paluchy do szkła i wydobyl jedną, flakowatą papryczkę, po czym włożył ją sobie do ust. – Hmm. Niczego, całkiem, całkiem. – Otarł rękawem spływający po brodzie ocet. – Ale i tak wolę ogórki.

Waldek w końcu dołączył do przyjaciela i nalał po słusznej porcji czystej.

– No to siup w ten głupi dziób! – zakrzyknął Waśka.

– Cheers! – odpowiedział Waldek i wychylił szklanicę.

Kiedy już zakąsił papryczką, spojrzał na Waśkę, który nadal trzymał w ręku pełną szklankę, a wzrokiem próbował przewiercić mu czaszkę.

– No co? Co ci nie smakuje, wódka czy zakąska?

Waśka nie odpowiadał. Wypił powoli wódkę i z namaszczeniem przeżuł paprykę. W końcu przemówił.

– Ty coś ostatnio dziwny jesteś, Wala. Nie dziwię się, że ludziska zaczynają gadać.

– Co zaczynają gadać? – spytał Waldek, nalewając po kolejnej szklance.

– No wiesz, że potrafisz przewidzieć, co będzie, że niby jasnowidz z ciebie, no i że czytasz w myślach. A nawet słyszałem, jak się baby naradzały, żeby iść do ciebie, to może urok odczynisz.

– E... coś ty, Waśka. Ja tam odczyniać uroków nie umiem. A że czasem mi się coś przyśni i wygadam się przy wódce, to potem plotkują. Najgorsze, Waśka, że mnie to się coraz częściej zdarza, zna-

czy coraz częściej śnią mi się te sny. A ostatnio to nawet przy robocie mnie naszło.

– I co, i co? – dopytywał szczerze zaniepokojony Waśka.

– No, to było tak... Ale wypijmy. – Przerwał i sięgnął po szklanekę.

Waśka uczynił to samo. Wychylił. Waldek zakąsił papryczką ze słoika i podał go Waśce mówiąc: – Bon appetit. – Waśka znowu oniemiał. Po chwili jednak widząc zakłopotanie kolegi, przemówił:

– Skąd ty, Wala, znasz takie słowa?

– Wiesz, nie wiem, ale tak jakoś same mi one do głowy przycho-
dzą. Nieważne – machnął ręką i kontynuował opowieść.

– Napierniczył mi rower. Wiesz, ten cholerny łańcuch. Dosta-
łem od Walendziaka całkiem nowy, tylko lekko używany. Pomyśla-
łem, że wymienię i będzie po kłopotcie. To znaczy, że ten cholerny
łańcuch nie będzie już spadał za każdym razem, jak będzie mi się
gdzieś spieszyć. Już nawet wziąłem się do rozpinania starego, kiedy
śrubokręt omsknął się ze spinki i dziabnąłem się w rękę. Oooo, zo-
bacz, jeszcze mam ślad... – to mówiąc, wyciągnął lewą dłoń w stronę
twarzy Waśki. – Widzisz, prawie sobie na wylot przebiłem. Ból był
taki, że aż mi w oczach pociemniało. I wtedy właśnie miałem wizję.

– Co miałeś? – przerwał mu Waśka.

– Wizję.

– Jaką wizję?

– Normalną wizję, imaginację, wewnętrzną projekcję mentalną
z przyszłości – odparł poirytowany Waldek.

Waśce tak opadła szczeka, że musiał ją podtrzymywać rękoma,
żeby nie wyleciała z zawiasów.

– Wala, ja się ciebie boję, ty naprawdę stajesz się coraz dziwniejszy.

– Chcesz posłuchać, co było dalej, czy nie? – spytał wyprowa-
dzony z równowagi Waldek. – Jak chcesz, to się zamknij i słuchaj.

Waśka, chłop prawie dwumetrowego wzrostu i potężnej budo-
wy, zrobił się nagle malutki i nawet nie pisnął, tylko wpatrywał się
w kolegę oczami wielkimi jak spodki, słuchając dalszej części opo-
wieści.

– Zobaczyłem pana Hieronima, jak pracuje u siebie w szopie, przepraszam, w laboratorium. Coś tam mieszał i dolewał. Aparatura cichutko szumiała. Z zaworka ciekła cieniutką stróżką ta jego okowitka. I nagle coś zaczęło syczeć, coraz głośniej. Hieronimus zaczął się krzątać wokół aparatury, przekręcać jakieś kurki i przełączniki, ale szum był coraz głośniejszy. I nagle...

Waldek zrobił głęboki wdech.

– ... Jebuuut! Wszystko wyleciało w powietrze... Wtedy oprzytomniałem i znowu zacząłem czuć ból w lewej dłoni. Rana była poważna, krwawiła, bolało jak jasna cholera. Zawinąłem rękę szmatą i poszedłem do sąsiadki. Walendziakowa opatrzyła mi ranę i stwierdziła, że miałem szczęście, że to lewa, ale potem dodała, że w zasadzie to bez znaczenia, bo do roboty to ja mam obie lewe... I czego nic nie mówisz?

– Bo... Bo... – jękał się Mundek.

– Co „bo”? Wykrztuś w końcu co ci leży na wątrobie.

Waldek, poirytowany, polał resztę wódki. Było tego niespełna po pół szklanki. Wtedy Waśka w końcu przemówił.

– Bo... Widzisz... Pan Hieronim miał wypadek i...

– Wiem. I to mnie właśnie niepokoi. Zastanawiam się coraz częściej, czy jakby mi się to nie wyimaginowało, to czy pan Hieronim nadal by był w domu i pędził tę swoją okowitkę? Czy to ja jestem winien, że leży teraz poparzony w szpitalu?... Waśka, to mnie męczy.

– Co cię tak męczy?

– Myślenie. No przecież ci mówiłem. Aż mnie już głowa boli od tego ciągłego myślenia. Musimy się jeszcze napić. Jest tak, że po gorzale trochę mniej myślę, nie mam halucynacji i łeb mnie przestaje napierniczać.

– Nooo! To rozumiem. Myślę, że to ci przejdzie, znaczy to myślenie, i znów będziesz normalny, Wala.

Nazajutrz Waśkę obudziło łomotanie do drzwi. Nie musiał się długo zastanawiać, domyślił się prawie od razu. Przed drzwiami stał Waldek i, sapiąc ciężko, wycedził przez zęby:

– Mamy tylko dwadzieścia cztery godziny. Musimy się sprężyć. Ubieraj się.

– Co cię tak przypiliło? Moja stara jeszcze śpi. Pogięło cię? Jest wcześniej – odparował Waśka.

– Nie gadaj tyle, tylko wkładaj galoty, bierz szpadel i łopatę i idziemy – zakomenderował Waldek.

Po pięciu minutach szli już drogą, wzdłuż której stały, jeszcze śpiące w bezruchu, maszyny drogowe. Kierowali się w stronę Gniewa. Po jakimś czasie Waśka odważył się spytać:

– Daleko jeszcze?

– Nie. Tylko kawałek, do tej kępy leszczyn.

Waśka dzielnie maszerował, niosąc w jednej ręce szpadel, a w drugiej łopatę, podczas gdy Waldek szedł przed nim w pośpiechu, przebierając nogami i sapiąc z podniecenia i wysiłku. Dotarli do kępy leszczyn. Za rowem, tuż obok leszczynowych krzewów, stał stary drewniany słup telefoniczny. Drewno było zbutwiałe, poczerniałe i spękane. Na wysokości wzroku przymocowana była niewielka, metalowa tabliczka. Na niej wybito numeratorem liczbę „13”.

– To tutaj. Tutaj musimy kopać. Między tym słupem a tymi krzakami. – Waldek dokładnie pokazał palcem miejsce, gdzie Waśka miał kopać. – No, co się tak gapisz? Kop.

Waśka, nie czekając na dalsze zachęty, wziął się do roboty.

– Tu? – spytał, wbijając szpadel w twardą ziemię, poprzerastaną korzeniami.

Waldek tylko skinął głową. Po kilku sztychach Waśka zrobił przerwę.

– Cholernie tu twardo. Muszę zapalić. A tak właściwie, to po co kopimy tę dziurę?

Waśka wyjął z kieszeni spodni lekko zdezelowaną paczkę papierosów i poczęstował kolegę. Usiedli przy rowie i delektowali się smakiem ukraińskich, czerwonych Vicerójów.

– Wiesz Waśka, miałem sen... – zaczął Waldek.

– No nie! Nie strasz mnie.

– Tym razem sen nie był wcale straszny, był intrygujący.

– Gadaj po naszemu, bo nic cię nie rozumiem.

– No dobra, był ciekawy i jeśli się sprawdzi tak jak poprzednie, to nigdy już nie będziemy musieli martwić się i zastanawiać, kto nam tym razem dorzuci do flaszki.

– Jak to? – spytał zaciekawiony Waśka.

– A tak to. Śniło mi się, że właśnie tutaj, ci drogowcy, co to nam tę drogę asfaltują, wykopali całą skrzynię złotych monet. Pruskie złote monety z końca osiemnastego wieku. Widziałem ją jak na jawie, we dwóch ją wyciągali, taka była ciężka. Więc kop, to nie będziemy już nigdy musieli pracować – skwitował Waldek.

– Myślę, że w twoim przypadku to nic nie zmieni, przecież i tak nigdzie nie pracujesz – zauważył słusznie Waśka.

– Aleś ty bystry, jak woda w kiblu! Ja zajmę się myśleniem, a ty kop.

Okolo południa, z wykopanej dziury wystawała tylko głowa Waśki. Biorąc pod uwagę, że miał on dwa metry wzrostu, dziura była już imponujących rozmiarów. Wokół niej piętrzyły się góry ziemi oraz piasku. Z wykopu wydobywał się dym papierosowy i ciche przekleństwa umęczonego Waśki. Nieopodal przechadzał się nerwowym krokiem Waldek i, paląc papierosa, mówił sam do siebie.

– Co, do jasnej cholery, przecież dokładnie widziałem. Ten słup i te leszczyny, nawet te pokrzywy widziałem. I tę tabliczkę na słupie. Pamiętam dokładnie. Co jest, do cholery? Wszystkie sny jak dotąd się spełniały, ale zawsze było to coś złego. A teraz, jak miało być coś dobrego, to dupa! Dupa, dupa, dupa! – dreptał wkoło i powtarzał. – Gówno! Nic! Szlag by to.

Zrobił się czerwony na twarzy i zaczął zachowywać się tak, jakby go brało delirium. Waśka, zaniepokojony o zdrowie kolegi, wygramolił się z dołu i poklepując go po przyjacielsku, odprowadził do domu, gdzie dla ukojenia nerwów wychylili po jednym głębszym.

Nazajutrz wieść obiegła sensacyjna nowina: „Podczas prac ziemnych pracownicy budowlani odkryli skrzynię z pruskimi monetami z czasów zaborów”. Gdy informacja ta dotarła do uszu Waldka, popędził jak szalony do sklepu Maźniakowej, by poznać więcej szcze-

głów. Dowiedział się, że odkrycia dokonano nieopodal posesji Konieczki, na drugim końcu wsi. Gdy tylko tam dotarł, ujrzał w niewielkim tłumie gapiów, górującego nad wszystkimi wzrostem Waśkę.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Jak to co? Przyszedłem zobaczyć, co mieliśmy wczoraj wykopać – odparł z nutką drwiny w głosie.

– Daj i mnie popatrzeć. – Waldek zaczął przeciskać się do przodu.

Wykop był ogrodzony biało-czerwoną taśmą ostrzegawczą, w tle stała koparka. W wykopie siedziało jakichś dwóch facetów w białych kitlach, którzy coś tam na dnie majstrowali.

– To archeolodzy z powiatu. Będą tu jeszcze kopać, tak, że nie wiadomo, kiedy będziemy mieli tę drogę – z rezygnacją w głosie stwierdził stojący obok Kawka.

Wykop był umiejscowiony pomiędzy kępą leszczyn a starym, drewnianym słupem telefonicznym. Na słupie znajdowała się tabliczka z wybitym numerem. Obrazek, niczym nachalne „dējà vu”, drażnił zmysły Waldka, a świadomość porażki przygniatała go coraz bardziej do ziemi. „Jasna cholera, nie ten słup. A wszystko wygląda tak samo. Krzaki i nawet pokrzywy, tylko ta cholerna tabliczka... Nie widać stąd numeru...” – myślał.

– Fuck it! I need a drink – wyrwało się Waldkowi.

Połowa gapiów odwróciła wzrok w jego stronę. On tylko splunął pod nogi i dodał:

– Fuck! – splunął jeszcze raz i poszedł do domu.